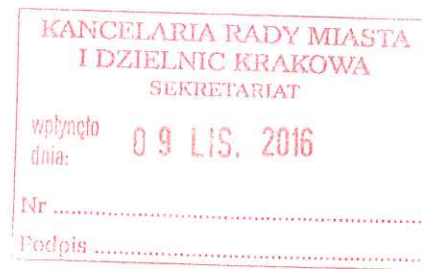


Bolesław Kosior
Komisja Kultury i Ochrony Zabytków
Radny Miasta Krakowa

Kraków, dn. 09.11.2016 r.

Szanowny Pan
Jacek Majchrowski
Prezydent
Miasta Krakowa



Interpelacja do protokołu

Panie Prezydencje zgodnie z procedurą stosowaną przy wykonywaniu zadań z zakresu nazewnictwa ulic i jako członek Zespołu ds. Nazewnictwa Komisji Kultury i Ochrony Zabytków Rady Miasta Krakowa zgłaszam do banku nazw, nazwiska następujących osób:

1. Gen. Jana Władysława Chmurowicza uczestnika wojny obronnej Polski 1939 roku, odznaczonego Orderem Virtuti Militari. W załączeniu folder.
2. Pani Genowefy Nowak – członka Związku Artystów Polskich. W załączeniu wspomnienia o pani profesor Genowefie Nowak.

Bolesław Kosior

A handwritten signature in blue ink, appearing to be 'BK' or similar, with a long, sweeping stroke at the end.

Pogrzeb generała Chmurowicza przerosł się w wielką manifestację. Uczestniczyli w nim, oprócz licznie reprezentowanej rodziny, przyjaciele, znajomi, towarzysze broni, podkomendni i rzesze mieszkańców Krakowa. Podkomendni przyjechali wraz z rodzinami, nieraz z odległych zakątków Polski. Przybyła też oficjalna delegacja z rodzinnego Przeworska. Orszak żałobny prowadził ks. bp Jan Pietraszko w asyście 50 księży. Po mszy św., odprawionej w kaplicy cmentarza Rakowieckiego, odprowadzono zwłoki do grobowca rodzinnego. Orkiestra wojskowa odegrała hejnał Wojska Polskiego. Nad grobem przemawiali: żołnierze z września 1939 r. - gen. bryg. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, płk dypl. Wiktor Alojzy Jakubowski oraz prof. dr Kłosa. Wbrew intencjom ówczesnych władz pogrzeb gen. bryg. Jana Chmurowicza przerosł się w manifestację patriotyczna i religijną.

Za: Mieczysław Bielski,
„Kronika Bydgoska” XVII 1995,
Mieczysław Cieplewicz,
Eugeniusz Kozłowski
„Wrzesień 1939 w relacjach
i wspomnieniach”



Urząd Miasta Przeworska
Referat Promocji, Kultury, Sportu i Turystyki
37-200 Przeworsk, ul. Jagiellońska 10, tel./fax 016 648 78 44, w. 120
www.przeworsk.um.gov.pl, promocja@przeworsk.um.gov.pl

Zawodowy oficer armii austro-węgierskiej, artylerzysta, uczestnik I wojny światowej, wojny polsko-ukraińskiej, polsko-bolszewickiej, a po wojnie m.in.: komendant Centralnej Szkoły Strzelania Artylerii w Toruniu, dowódca 15. Dywizji Piechoty w Bydgoszczy i zastępca dowódcy Okręgu Korpusu nr X w Przemyślu.

Gen. J. Chmurowicz był postacią dość znaną w Wojsku Polskim w okresie międzywojennym. Stosunkowo szybko wspinał się po kolejnych szczeblach awansów służbowych. Uchodził za wybitnego artylerzystę, zdolnego organizatora, nieprzeciętnego jeźdźcę i znawcę koni. Cieszył się dobrą opinią przełożonych, którzy zgodnie, w różnych ocenach, wystawianych bądź to z okazji corocznych podsumowań, bądź to przy wnioskach odznaczeniowych, podkreślali zarówno znakomite cechy charakteru jak i wyjątkowe predyspozycje do pełnienia coraz to wyższych stanowisk. Był też oficerem lubianym przez podkomendnych, którzy cenili go za łagodne usposobienie, męstwo, odwagę, prawy charakter i oddanie sprawie.

GENERAŁ JAN WŁADYSŁAW CHMUROWICZ

Jan Władysław Chmuruwicz urodził się 31 grudnia 1887 r. w Przeworsku, w rodzinie rzemieślniczo-kupieckiej z ojca Walentego i matki Karoliny z domu Mirkiewicz. Ochrzczony został w kościele parafialnym w Przeworsku, w styczniu 1888 r. przez ks. Stanisława Sypniewskiego, a rodzicami chrzestnymi byli: siostra matki Antonina Mirkiewicz i Franciszek Szarłński. Na chrzcie otrzymał trzy imiona: Jan Władysław Julian. W zachowanych dokumentach najczęściej używane jest jedno imię - Jan; w niektórych - Jan Władysław. Niestety, nie udało się ustalić żadnych szczegółów z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości przyszłego generała Wojska Polskiego. Wiemy jedynie, że po ukończeniu nauki w szkole realnej w rodzinnym Przeworsku, w latach 1900 - 1908 uczęszczał najpierw do gimnazjum w Jarosławiu, a następnie do IV Gimnazjum Klasycznego w Krakowie, które zakończył zdaniem egzaminu maturalnego.

Po ukończeniu gimnazjum i zdaniu w 1908 r. egzaminu dojrzałości studiował prawo w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W 1909 r. został powołany do odbycia jednorocznej służby w armii austriackiej, w czasie której ukończył szkołę oficerską. Od 1912 r. pracował jako urzędnik ruchu w dyrekcji kolei we Lwowie. Po wybuchu I wojny światowej służył w armii austriackiej, w stopniu podporucznika, jako oficer wywiadowczy i pierwszy oficer baterii 45 pułku artylerii polowej.

Do stopnia porucznika awansował w 1916 r. W listopadzie tego roku został dowódcą baterii 56. pułku artylerii polowej. Przez większość wojny walczył na froncie włoskim. Do stopnia kapitana awansował w 1918 r. W Wojsku Polskim od listopada 1918 r. pełnił służbę w Komendzie Placu Przemyski jako oficer werunkowy, następnie był dowódcą powiatu Przeworsk. W wojnie polsko-radzieckiej dowodził: dywizjonem w I pułku artylerii polowej Legionów i 3 pułku artylerii ciężkiej. Do stopnia majora awansował w 1920 r. Po zakończeniu działań wojennych był dowódcą 3 dywizjonu artylerii ciężkiej. Od listopada 1921 r. pełnił obowiązki zastępcy, a następnie dowódcy 2 pułku artylerii ciężkiej.

Do stopnia podpułkownika awansował w 1922 r., a do stopnia pułkownika w 1924 r. W tym roku ukończył kurs dowódców pułków w Toruniu, w 1926 r. kurs unitarny dowódców pułków w Rembertowie, a w 1928 r. kurs wyższych dowódców artylerii w Warszawie. W kwietniu 1929 r. został przeniesiony do Centrum Wyszkolenia Artylerii w Toruniu, w którym objął stanowisko komendanta Szkoły Strzelania Artylerii. Od grudnia 1930 r. był dowódcą 7 grupy artylerii w Poznaniu.

We wrześniu 1931 r. został drugim dowódcą piechoty dywizyjnej 20. dywizji piechoty w Baranowiczach, następnie dowodził 15. dywizją piechoty w Bydgoszczy. W sierpniu 1937 r. objął funkcję zastępcy dowódcy Okręgu Korpusu nr X Przemyski.

W wojnie obronnej Polski 1939 r. był dowódcą obrony Przemysła. Wzięty do niewoli niemieckiej przebywał w kilku obozach jenieckich m.in. w Woldenbergu, gdzie był konspiracyjnym komendantem obozu. Po wyzwoleniu wrócił do kraju. W okresie powojennym pracował w spółdzielczości.

Odnaczony został m.in. Orderem Virtuti Militari 5 kl., czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi oraz odznaczeniami zagranicznymi.

Z godnością i pokorą znosił upokarzające warunki pobytu w Polsce Ludowej. Z godnością przyjął też ostatnie gorzkie doświadczenie losu - śmiertelną chorobę. W 1965 r. zachorował na raka i kiedy dowiedział się, że jest to kres jego ziemskiej wędrówki, po spowiedzi i komunii św., jednemu z przyjaciół wyznał:

"... Stanę wkrótce do raportu przed Najwyższym Wodzem. Jestem gotów. Bogu się zamelduję".

Zmarł 5 listopada 1965 r. w Szpitalu Wojskowym w Krakowie, w wieku 77 lat. Został pochowany 9 listopada 1965 r. na Wojskowym Cmentarzu Rakowickim.

W inskrypcji żałobnej, ukrywający się pod inicjałami M.W. autor, tak charakteryzował sylwetkę generała:

"... Dał się jednak wszystkim poznać jako szlachetny i dobry człowiek, wzorowy mąż i troskliwy ojciec. Był wierzącym, żarliwym katolikiem".

Z ogromnym sentymentem wspomina go druga żona - Jadwiga, podejmująca jednocześnie nierówną walkę o właściwą ocenę jego przeszłości wojskowej. W liście do mnie z 31 lipca 1996 r. pisała:

"... Po wstąpieniu do wojska całe życie cechowała go apolityczność - nawet nieprzychylnych mu przekonań. (...) Bardzo rodzinny. Jako przykład, po śmierci syna prosił o przeniesienie z Bydgoszczy i nie wszedł więcej do swej wili, w której umarł syn. Dobry mówca, w dobrym nastroju pisywał wiersze. Pamietnik, który pisał po powrocie z niewoli to maszynopis - którego nie udostępniam nikomu. (...) Najchętniej wspominał ze szczegółami czasy wojskowe, miał fenomenalną pamięć. W ostatnich chwilach choroby wracał do Przeworska i wspominał całą rodzinę. Nie zgadzam się z wieloma publikacjami tak prasowymi jak i książkowymi dotyczącymi osoby męża mojego (...)".

Moje „trzy grosze” do wspomnień o pani profesor Genowefie Nowak.

Trudno jest pisać o tym co było kiedyś o osobach, które odeszły o latach młodości, które minęły a jednak gdzieś w nas drzemią w ukryciu. Trudno jest ująć w słowa pewne zdarzenia, nastroje, chwile, które przebrzmiały niezauważone by po latach powracać w snach i wspomnieniach..... Trudno jest opowiadać o ludziach, którzy kiedyś żyli między nami, pomagali nam kreować własne widzenie świata, stwarzali nas niemalże, których potem zgubiliśmy gdzieś po drodze do dorosłości i zwyczajną koleją rzeczy odeszli w niepamięć.

Taką osobą, która kiedyś dawno pojawiła się w moim życiu, która miała na mnie ogromny wpływ, na to kim jestem dzisiaj, na mój sposób myślenia i odbierania rzeczywistości, na moją twórczość - taką osobą której po prostu nie da się zapomnieć - była pani Genowefa Nowak.

Przyjaciele zwracali się do niej per „Gena” i tak też podpisywała swoje prace. Między nami, uczniami liceum funkcjonowała jako „Stefa”. Oczywiście nazywaliśmy ją tak wtedy kiedy mieliśmy pewność, że nie słyszy nas ani pani profesor, ani nikt inny z grona pedagogicznego. Pomimo usilnych starań nie udało mi się dotrzeć do korzeni tego „pseudonimu”. Po prostu tak nazywaliśmy panią profesor Nowak - my uczniowie PLSP w Nowym Wiśniczu - z generacji na generację, a przynajmniej w tym okresie czasu, który obejmuje moja pamięć.

Wiele mitów funkcjonowało na temat pani Nowak. Jeden z nich to opowieść o tym, że w malarstwie preferowała fiolety, że prace utrzymane w tej tonacji oceniała bardzo wysoko, więc jeżeli przy egzaminach wstępnych do liceum, dyktowała pani Nowak, starsi uczniowie przekazywali te „cenne informacje” starającym się o przyjęcie: „maluj w fioletach, Stefa lubi fiolety, to pewniak”! Ile w tym było prawdy, trudno dociec. Kiedyś zapytałem o to panią Nowak i stanowczo zaprzeczyła. Być może sama nie zdawała sobie sprawy a dociekliwi uczniowie wyczuli to jej zamiłowanie do fioletów? Równie dobrze mógł to być mit, który powstał na podstawie przypadkowego wyboru i wysokiej oceny kilku prac z przewagą fioletów na jakichś zajęciach prowadzonych przez panią Nowak..... W każdym bądź razie ta „skłonność do fioletów” u „Stefy” przeszła do historii liceum.

My, harcerze zwracaliśmy się do pani Nowak per „druhna”. Woląta to od naszego ustawicznego: „pani profesorko”, a nam pozwalało to omijać językołomne sformułowanie upraszczane najczęściej do: „pani psorko”..... Tak jak to w każdym środowisku bywa, że pojawiają się nagłe przyjaźnie i animozje tak i w naszej społeczności uczniowskiej były osoby które uwielbiały panią Nowak i takie, które jej nie cierpiały. Wynikało to z wielu przyczyn. Pani Nowak była osobą szorstką, twardą, zamaszystą a zwracając się do nas, mówiła patrząc prosto w oczy rozmówcy. Mówiła ostro, bezpośrednio, bez żadnych upiększeń i ozdóbek. A oczy miała ciemne, przenikliwe, niemal groźne. Uczeń, który miał na sumieniu jakieś przewinienie, postawiony przez panią profesor „do raportu” wiał się jak piskorz „przesztyletowany” jej spojrzeniem. Pod tą szorstkością na pokaz ukrywała niezwykle wrażliwość i delikatność, uśmiechanie piękna i dobra –

wartości, które starała się przekazać nam, swoim uczniom. Wartości, które dominowały w jej pracach.

Pani Nowak kochała młodzież w ogóle a jej szczególnymi ulubieńcami byli ci zaliczani do młodzieży trudnej, ci z ubogich rodzin, oraz młodzież skonfliktowana z otoczeniem. Pomagała im w miarę swoich możliwości i zawsze walczyła o nich na konferencjach nauczycielskich. Zajęcia z rzeźby oraz z rysunku i malarstwa prowadziła z pasją i zamiłowaniem. Wpajała w nas wycucie bryły i przestrzeni, koloru i waloru, zwracała uwagę na piękno sztuki ludowej. Jej ulubiony temat „Chrystusik Frasobliwy” doczekał się wielu znakomitych interpretacji w wykonaniu tych bardziej utalentowanych uczniów. Ale na zajęciach u pani Nowak nie było uczniów niezdolnych. Każdy z nas czuł się artystą. Potrafiła zapalić do pracy nawet tych leniwych i mniej zainteresowanych sztuką. Do programu zajęć z rysunku i malarstwa wprowadzała często ćwiczenia graficzne: linoryt i gipsoryt, które w sumie więcej miały wspólnego z rzeźbą niż z malarstwem, a nam dawało to szansę poznania nowych technik, stwarzających możliwość otrzymania kilku egzemplarzy tej samej pracy. Wszelkie uroczystości szkolne obstawiane były (zaproszenia, dyplomy, podziękowania itp) graficznymi pracami uczniów. Pani profesor kochała Wiśnicz, a jego folklor i legendy były częstym tematem na naszych zajęciach. Pamiętam jak w okresie kiedy miejscowy, żydowski cmentarz został częściowo zajęty pod budowę smolarni, spędzaliśmy długie godziny robiąc dokumentację starych płyt nagrobnych skazanych na zniszczenie. Dokumentowaliśmy je techniką frotazu - wcierając w szary papier pakowy przyłożony do płaskorzeźbionych stel, pęki świeżej, soczystej trawy i ziemi. Spieszyliśmy się, żeby zdążyć przed zagładą cmentarza. Ciekawe efekty naszej pracy dokumentatorskiej zostały złożone w archiwum liceum ale zapewne nie przetrwały próby czasu, tak zresztą jak i nasze kroniki, które podobno pewnego pięknego dnia jeden z przypadkowych dyrektorów naszego liceum, (jego nazwiska przez litość nie wymienię) - zupełnie nie związany ze środowiskiem wiśnickim i nie rozumiejący go - przeznaczył na spalenie.

Zbiorki harcerskie z drużyną Nowak, również były nietuzinkowe, uzależnione od okoliczności. W okresie zimowym pani Nowak wraz z harcerzami z zapalem przygotowywała noworoczną szopkę w której występowały postaci charakterystyczne nie tylko dla naszej szkoły ale i dla całego Wiśnicza. Na jednym z takich występów - na którym aktorzy wygłaszający swoje kwestie stali za naciągniętym na blejtram, oświetlonym od tyłu prześcieradłem a rzucane przez nich cienie, sugerowały osoby, których te teksty dotyczyły - Marian Tabaszewski tak wspaniale „odegrał” rolę profesora Pusza, który wtedy w liceum uczył matematyki, że wszyscy niemalże uwierzyli, że to sam profesor stoi za prześcieradłem. Niestety historia miała nieciekawie dla Mariana zakończenie. Urażony profesor Pusz wykorzystując słaby zapach Mariana do matematyki, zostawił go na drugi rok w tej samej klasie. Nie pomogły prośby i interwencje pani Nowak. Profesor Pusz był nieubłagany! To wydarzenie natomiast okazało się szczęśliwym dla mnie; dzięki temu, że Marian „zwolnił” miejsce, moje podanie o przyjęcie do trzeciej klasy liceum, (wcześniej ukończyłem 3-letnią szkołę zawodową) zostało rozpatrzone pozytywnie i w taki to sposób znalazłem się w gronie uczniów wiśnickiego liceum.

Do pracy pani profesor dojeżdżała z Krakowa prawie codziennie. Do Bochni pociągiem a potem z Bochni do Wiśnicza autobusem. W zimowe, krótkie i szare dni często nocowała w pokoiku

na terenie internatu i wtedy właśnie odbywały się nasze zbiórki harcerskie. Te zimowe dojazdy do pracy przytłaczała częstymi przeziębieniami i niejednokrotnie bardzo ciężką gripą co z kolei odbijało się niekorzystnie na jej już i tak schorowanym sercu.

W okresie letnim na zbiórkach organizowaliśmy ogniska. Jedno takie ognisko utkwilo mi szczególnie w pamięci a to z powodu zaproszonej przez panią Nowak na to ognisko, znanej warszawskiej rzeźbiarki i pedagog - pani Barbary Zbrożyny. Pani Zbrożyna chętnie podejmowała pracę na prowincji. Lata całe prowadziła zajęcia z rzeźby w zakopińskiej szkole Kenara. Na tym ognisku okazało się, że od nowego roku szkolnego będzie też pracowała w naszym liceum. Spotkanie było ciekawe, pełne opowieści jako, że pani Zbrożyna dużo podróżowała. Właśnie na tym ognisku upewniliśmy się, że pani Nowak jest znaną i cenioną artystką również w Warszawie. Co prawda już wcześniej wiedzieliśmy, że nasza pani profesor to znana rzeźbiarka, ale usłyszeć to od kogoś spoza środowiska, od kogoś z samej Warszawy to zupełnie inna sprawa. Pamiętam, że od tego czasu zaczęliśmy postrzegać panią Nowak inaczej, z jeszcze większym szcunkiem i podziwem. Spotkanie ze znaną warszawską rzeźbiarką - dla nas prowincjuszy - było spotkaniem z Wielkim Światem. Uczniowie klasy piątej, którzy przygotowywali się do egzaminów na ASP wprosił się do niej na dodatkowe zajęcia z rysunku dużego formatu. Niestety „szczęście” nasze trwało krótko, po kilku zajęciach pani Zbrożyna poprosiła o urlop twórczy i wyjechała na roczny rejs po egzotycznych krajach. Po tym rejsie nigdy już do Wiśnicza nie wróciła. A my trochę rozczarowani, pozostaliśmy z naszą wierną i zawsze szczerze oddaną pracy pedagogicznej i naszej szkole, panią profesor Nowak.

Pani Nowak opiekowała się szczególnie uczniami z biednych rodzi. Pomagała im i osłaniała ich jak mogła. Osłaniała też rodziców tych uczniów przed niemiłymi wiadomościami na temat postępów w nauce ich dzieci. Pamiętam, kiedyś miałem kłopoty z matematyką i w klasyfikacji okresowej otrzymałem „luź” z tego przedmiotu. Moja mama przyjechała na wywiadówkę, jako że nie udało mi się przechwycić zawiadomienia o tym wydarzeniu i niestety dotarło ono do rak moich rodziców. Na wywiadówce mama nasłuchiwała się o mojej ignorancji matematycznej i pewnie było jej bardzo przykro, ale kiedy prawie ze łzami w oczach wyszła na korytarz, tam czekała już na nią pani profesor, zaprosiła mamę do sali rzeźby, pokazała moje prace i „uświadomiła jaki jestem genialny”. Moja mama otarła łzy i obeszło się nawet bez „kazania” na temat mojego nieuctwa.

Kiedy po ukończeniu liceum szukałem uczelni na której mógłbym kontynuować moją edukację, nawet nie śmiałem marzyć o Akademii Sztuk Pięknych, która dla mnie, wiejskiego chłopaka była czymś nieosiągalnym. Pani profesor wybrała z mojego archiwum prace do teczki, którą należało dołączyć do podania na ASP i niemalże prowadząc mnie za rękę do sekretariatu ASP w Krakowie, spowodowała, że to podanie złożyłem. Ku mojemu zaskoczeniu i radości zostałem dopuszczony do egzaminu wstępnego. Pani profesor cieszyła się wraz ze mną kiedy okazało się, że egzamin zdałem pomyślnie i zostałem przyjęty na Wydział Rzeźby. I tak rozpocząłem naukę w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych a moje kontakty z panią Nowak stały się częstsze i z czasem zamieniły w przyjaźń. Korzystając z mojej stałej obecności w Krakowie, pani profesor niejednokrotnie prosiła mnie o dopilnowanie mieszkania w czasie jej nieobecności, co ja chętnie czyniłem jako, że miałem wówczas możliwość wyrwania się z zatłoczonego akademika do miejsca gdzie mogłem w spokoju

pracować i tworzyć. Czasem, gdy pani profesor miała wolny czas zapraszała mnie do siebie i razem pracowaliśmy, portretując się nawzajem lub szukając ciekawych rozwiązań malarskich i graficznych dla otaczającej nas rzeczywistości.

Mieszkanie na Czystej 10 to osobny rozdział w życiu pani profesor Nowak. Zostało jej przydzielone z urzędu - jako mieszkance domu dziecka - wbrew woli właściciela, co było w tamtych, komunistycznych czasach często stosowane. Właścicielem apartamentu był starszy, samotny pan - adwokat z zawodu. Mieszkanie pani profesor składało się z dużego pokoju i maleńkiego pokoiku. Niestety kuchnia, łazienka i korytarz były do wspólnego użytku, co okazało się szczególnie uciążliwe po śmierci właściciela kiedy do apartamentu wprowadziła się jego dalsza rodzina z Wrocławia. Pani profesor usiłowała utrzymywać poprawne stosunki z tymi ludźmi ale nie było to łatwe ze względu na niski poziom ich kultury. Utrudniali oni życie pani profesor w miarę swoich sił i możliwości. Pomiędzy dużym pokojem a częścią mieszkania zasiedloną przez nowych właścicieli, były drzwi co prawda zamknięte na klucz i zasłonięte szarym płótnem, na którym pani profesor przypinała swoje rysunki, ale z biegiem czasu pani Nowak zaczęła mieć obsesję, że ktoś wchodzi do jej mieszkania i przemieszcza jej rzeczy. Żeby jakoś rozwiązać tę kłopotliwą sytuację, pani profesor rozpoczęła starania o możliwość przerobienia małego pokoiku na łazienkę i kuchnię. W ten sposób miała nadzieję chociaż częściowo uniezależnić się od kłopotliwych sąsiadów. Niestety, podobno technicznie z jakichś bliżej nieznanym mi powodów było to niemożliwe i gehenna współżycia z niemiłymi właścicielami trwała nadal.

Dzieciństwo pani profesor spędziła na wsi rzeszowskiej - w Terliczce. Często z rozrzewnieniem opowiadała o szalonych zabawach z rówieśnikami, o tym jak na bosaka siodłała konie i pędziła całe ich stado do wodopoju. Sytuacja materialna w jakiej znalazła się jej matka po odejściu męża - który założył nową rodzinę daleko od Terliczki - była nieciekawa. Pani profesor często opowiadała o zażenowaniu jakie jej towarzyszyło kiedy w niedzielne poranki po pierwszej mszy, musiała biegać do sąsiadek, żeby pożyczyć od którejś, chustkę na głowę dla mamy, aby i ona mogła iść do kościoła na mszę późniejszą.

Po śmierci matki, Geną zajęła się pani Helena Pisarek, nauczycielka z sąsiedniej wsi, którą pani profesor całe późniejsze życie traktowała jako przybraną matkę. Pani Pisarek zadbała o to żeby Gena dostała się do Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, załatwiła dla niej miejsce w domu dziecka (nota bene Dom Dziecka przy ulicy Czystej, który jak mi się wydaje, istnieje do dnia dzisiejszego). Później pani profesor często ten dom odwiedzała i pomagała jego wychowankom, z wdzięczności za to, że kiedyś ona sama znalazła tam namiastkę domu rodzinnego. W Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie nauczycielem historii sztuki był wtedy prof. Włodzimierz Hodys, wspaniały pedagog z którym pani Nowak przyjaźniła się potem przez długie lata. W tym czasie równoległe z panią profesor do krakowskiego liceum uczęszczała cała późniejsza śmietanka artystyczna Krakowa a wiele z tych osób zdobyło sławę poza granicami Polski. Do tej samej klasy uczęszczała między innymi znana aktorka Zofia Kucówna i rzeźbiarka Ludwika Szemiota, późniejsza żona Andrzeja Bursy i wieloletnia przyjaciółka pani profesor.

Na studiach pani Nowak musiała już radzić sobie sama. Opowiadała jak oszczędzała, żeby otrzymane stypendium wystarczyło na wszystko. Opowiadała, że podstawą jej żywienia był

chleb ze smalcem i cebulą. Raz na jakiś czas przygotowywała taki smalec i przechowywała w słoikach. Tym mało urozmaiconym pożywieniem tłumaczyła swoje kłopoty z sercem.

Koledzy, którzy studiowali razem z panią Nowak opowiadają, że jej pierwsze lata studenckie naznaczone były działalnością polityczną: organizowała, działała, agitowała, rozliczała itd. Nie wiem ile w tym prawdy ale gdyby istotnie tak się było to nie byłoby się czemu dziwić; to właśnie ta Polska, która nadeszła po zakończeniu wojny, pozwoliła pani profesor urzeczywistnić marzenia: podjąć naukę w liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie i kontynuować ją później w krakowskiej ASP. Nie byłoby w tym nic dziwnego, że młoda wiejska dziewczyna, ciężko doświadczona przez los, nareszcie poczuła się dowartościowana i uwierzyła, że ten system polityczny zapewnia wszystkim godne życie i wszystkim stwarza równe szanse. I zapewne wyrażała swoją wdzięczność tak jak potrafiła – lojalnością.

Trwało to trochę zanim do pani profesor dotarło, że ten system, który pozwolił jej zrealizować marzenia i zdobyć wykształcenie artystyczne, tylko z pozoru był tak przyjazny dla przeciętnego obywatela. Kiedy zrozumiała i odkryła prawdę, zmieniła zupełnie swój stosunek do rzeczywistości. Nie wiem czy w czasie tych lat „upolitycznionych” pani Nowak chodziła do kościoła ale potem stało się to jej coniedzielnym obowiązkiem. Pamiętam też jej szkice do fresków w kościele w Terliczce, które chyba w końcu nie zostały zrealizowane, ale w projekcie wyglądały imponująco: dynamiczne, pełne ekspresji i utrzymane w świetnej tonacji kolorystycznej.

Wraz ze zmianą światopoglądu zaczęły się kłopoty pani profesor. Zawsze marzyła o pracy w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie lub przynajmniej - ze względu na stan zdrowia - o pracy w krakowskim liceum, co zakończyłoby jej ustawiczne dojazdy i częste, związane z tym choroby. Niestety wszelkie jej starania w tym kierunku były blokowane odgórnie. Podobnie było przy próbach wyjazdów zagranicznych co było kolejnym marzeniem pani Nowak. Nie licząc podróży do krajów tak zwanej „Demokracji Ludowej” - w efekcie usilnych starań o wyjazd do krajów „za żelaznej kurtyny” - udało jej się jedynie uzyskać zgodę na wymianę dewiz i krótki wyjazd do Francji (gdzie odwiedziła swoją matkę chrześną) oraz kilkutygodniowy wyjazd do Szwecji. W tym czasie artyści z dużo mniejszym dorobkiem artystycznym za to ustawieni politycznie, wyjeżdżali na różnego rodzaju imprezy zagraniczne, pokrywane całkowicie z budżetu państwa. Podejrzewam, że nie tylko w ten sposób utrudniano życie pani profesor. Ale o tego typu problemach mówiła niechętnie, zapewne nie chciała mieszać swoich uczniów w tak delikatne i kłopotliwe sprawy.

Na drugim roku moich studiów, tuż przed wakacjami, pani profesor zaproponowała mi wyjazd do Fromborka w ramach akcji „1001 Frombork”, w roli instruktora i jej pomocnika. Wyjazd ten okazał się wspaniałą przygodą. Życie w „harcerskim miasteczku” było świetnym wypoczynkiem połączonym z pracą na rzecz Fromborka. My „plastycy” stanowiliśmy trzon tego zgrupowania, nasze namioty były usytuowane w pobliżu namiotów Komendy Głównej ZHP. Obok nas rozłożyli swoje namioty młodzi literaci, którzy przygotowywali materiały do gazetki akcji fromborskiej oraz pielęgniarki, które zapewne miały czuwać nad zdrowiem i bezpieczeństwem uczestników zgrupowania. Pani profesor była w swoim żywiole. Wyszukiwała dla nas prace związane z upiększaniem grodu Kopernika oraz z informacją turystyczną na temat Fromborka. Nam udzielał

sie jej zapał i chętnie realizowaliśmy powierzone nam zadania. Wieczorami ja i pani profesor robiliśmy wypadki do pobliskiej „tawerny” gdzie w soboty odbywały się dancingi. Nie pamiętam z jakiego powodu ale takie wypadki były dla nas zakazane więc stało się to dodatkową atrakcją. Po dotarciu na miejsce, często okazywało się, że nie tylko my „złamaliśmy zakaz”; knajpa pełna była młodych ludzi związanych z „Akcją 1001 Frombork”. No cóż, pozostało nam tylko udawać, że się nawzajem nie widzimy. Ale następnego dnia najczęściej i tak byliśmy wzywani na „dywanik” do komendanta obozu. Miło wspominać też szalone potancówki na trawie organizowane od czasu do czasu dla całego zgrupowania. Pamiętam, że na okragło „leciały” z magnetofonu dwa przeboje sezonu: „Beata” Janusza Laskowskiego i „Góralko Halko” jakiegoś mało znanego zespołu. Do dnia dzisiejszego, kiedy słyszę któryś z tych utworów - czuję zapach morza i wspaniałą atmosferę tamtych dni.....

Po ukończeniu 6-cioletnich wtedy studiów w ASP, podjąłem pracę poza Krakowem i znowu moje kontakty z panią profesor stały się rzadsze. Wtedy nie było jeszcze systemu wolnych sobót a więc i weekendy nie dawały dużych szans na spotkania. Co prawda ja poniedziałki miałem wolne, przeznaczone na pracę twórczą, ale z kolei pani profesor najczęściej miała wtedy zajęcia w Wiśniczu.

W międzyczasie dwukrotnie miałem szczęście uczestniczyć z panią Nowak w plenerach rzeźbiarskich. Pierwszy z nich to dwuosobowy plener w Szczawnicy, który okazał się wielkim przekrętem i w sumie nie wiadomo było o co chodzi. Z wielu zgłoszonych na ten plener osób zostaliśmy wybrani ja i pani Nowak; pani profesor jako komisarz pleneru i ja jako uczestnik. Po przyjeździe do Szczawnicy, organizatorzy pleneru przyjęli nas ze zdziwieniem, twierdząc, że tylko ja byłem zaproszony. Wyraziliśmy swoje oburzenie i w końcu pan Kukliński - ojciec znanej tancerki Ewy Kuklińskiej, który w tamtych czasach był alfą i omegą w Szczawnicy - łaskawie zgodził się na pozostawienie i mnie i pani Nowak na tym dziwnym plenerze. Niestety na zebraniu roboczym, kiedy przedstawiliśmy nasze projekty, okazało się, że pan Kukliński lepiej od nas wie co mamy robić i jak to ma wyglądać. Ponownie oburzeni stwierdziliśmy, że skoro tak dobrze wie co to ma być, niech sobie po prostu sam to wykona. I tak po tygodniowym pobycie w Szczawnicy - na koszt tamtejszych władz miejskich, wróciliśmy z panią profesor do Krakowa.

Drugi plener miał miejsce w mojej rodzinnej wsi Łysej Górze - w tamtejszych zakładach ceramicznych „Kamionka”. Był to ogólnopolski plener pracowników CPLiA oraz artystów tworzących w glinie ceramicznej. Pani Nowak pomimo kłopotów ze zdrowiem - korzystając z możliwości wypału w „Kamionce” prac większego formatu - wykonała podczas tego pleneru kilka dużych jak na tamte warunki rzeźb. Wtedy też, po raz pierwszy i jedyny, pani profesor odwiedziła mój dom rodzinny i zdążyła zaprzyjaźnić z moją siostrą, która - biorąc pod uwagę stan zdrowia pani profesor oraz fakt, że odległość do naszego domu ze spółdzielni „Kamionka” to dwa kilometry drogi a w dodatku nasz dom jest usytuowany na wzgórzu - wyjechała po nią motocyklem, czym bardzo pani profesor zaimponowała.

Ten plener to były jedne z ostatnich dłuższych spotkań z panią profesor. Potem już tylko przelotne rozmowy podczas moich wyjazdów do Krakowa, albo przypadkowe spotkania w jakiejś galerii.

W '80 roku w lipcu wyjechałem do Meksyku na roczne stypendium Rządu Meksykańskiego. Kontakt z Meksykiem w tamtych latach był bardzo utrudniony. Listy szły tygodniami a o połączeniach telefonicznych można było jedynie pomarzyć. Nie pamiętam czy pani profesor zdążyła odpowiedzieć na moje listy, nie pamiętam ile tych listów napisałem..... Pani profesor od jakiegoś czasu czuła się coraz gorzej. Serce odmawiało posłuszeństwa. Niecałe trzy miesiące przed moim powrotem do Polski - w dniu moich 36 urodzin, 8 czerwca 1981 roku - zmarła.

Z opowiadań znajomych wiem, że prawdopodobnie poczuła się źle a szukając pomocy wyszła ze swojego mieszkania do przedpokoju i tam straciła przytomność. Nieprzytomną znalazł dawny uczeń - Adam Rój i wezwał pogotowie. Nie wiadomo jak długo tak tam leżała. Sąsiedzi udawali, że niczego nie widzą a może ich w domu nie było.....? Tego chyba nie dowiemy się już nigdy. W każdym bądź razie tak odeszła NASZA PANI PROFESOR..... Aż trudno uwierzyć, że zmarła 35 lat temu, a mnie wydaje się, że to wszystko o czym tu opowiadam wydarzyło się zaledwie wczoraj. Za rok pani profesor miała 90 lat i ewentualnie to byłby wiek odpowiedni do umierania. Niestety stało się inaczej. Odeszła od nas w pełni sił, mając 54 lata. Jej życie było ustawicznym poszukiwaniem przyjaźni, miłości, obecności drugiego człowieka. Widziała i doceniała każdą żywą istotę i nigdy nie przechodziła obojętnie obok ludzkiego cierpienia. Zmarła w samotności.....

Odeszła od nas, ale żyje w naszych sercach i w naszych wspomnieniach. I będzie żyła dopuki dopuki żył będzie ostatni pamiętający ją uczeń liceum, dopuki żyła będzie ostatnia osoba która miała z nią bezpośredni kontakt. Człowiek tak naprawdę umiera dopiero wtedy, kiedy się o nim zapomina. A zapomnieć panią profesor Nowak to zapomnieć wartości, które ona reprezentowała, zapomnieć siebie i własną przeszłość..... to zapomnieć wczorajszą młodość.....

Stanisław Moskała

Miasto Meksyk, 23 sierpień, 2016 r.